

Małgorzata Lisieńska

CZAROWNICA



Małgorzata Łisińska

CZAROWNICA



GENIUS
CREATIONS

Czarownica
Copyright © Małgorzata Lisińska
Copyright © Wydawnictwo Genius Creations
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the cover art by Robert Rajszczyk
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2018 r.

druk ISBN 978-83-7995-217-5
epub ISBN 978-83-7995-218-2
mobi ISBN 978-83-7995-219-9

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski
Redakcja: Małgorzata Maksymowicz
Korekta: Małgorzata Tarnowska
Projekt okładki i adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski
Ilustracja na okładce: Robert Rajszczyk
Skład i typografia: www.proAutor.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak
ul. Kormoranów 126/31
85-453 Bydgoszcz
sekretariat@geniuscreations.pl
www.geniuscreations.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach
www.MadBooks.pl
www.eBook.MadBooks.pl



mojej córce

SPIS TREŚCI

BESTIA	9
CHATKA	39
TRZY ŻYCZENIA	61
PIĘKNA	83
SNY	107
RODZEŃSTWO	123
SZATY	143
TRYTON	173
ZŁOTOWŁOSA	199
WIEDZMA	227
LAS	255
ZŁOTY DĄB	275
KLUCZ	291

I

Bestia

Zacinający deszcz bębnił w dach, hałasując bardziej niż zawodzący przy ogniu bard. Chudy młodzian co rusz podnosił piskliwy głosik, żeby przekrzyczeć nawałnicę. Niestety, bogowie nie obdarowali go stosownymi umiejętnościami i zaśpiew bardziej przywodził na myśl konającą w męczarniach dzikie zwierzę niż pieśń biesiadną.

Krasnolud krzywił się coraz bardziej z każdą kolejną wysoką nutą. Z żalością zerkał to na siedzącego obok Yasę, to na nienaturalnie milczącą Likal. I chociaż cierpliwość Sodiego Yudherthardere podziwiana była w całej Krainie, nie zdierzył wreszcie i powiedział głośno:

– Rzućcie no, panie Yasa, jakie zaklątko, co by szczyłowi jaja wróciły. Noż człek ma ochotę skoczyć po jaki sznur do stajni i zadyndać u powały. Żem kiedyś miał kundla, co we wnyki wpadł. Toż niech mi ruda więcej paluszkami nie... – Zawahał się, dojrawszy chłodne spojrzenie maga. – Znaczy nieważne, grunt, że jak ta psina zdychała, to melodyjniejsze dźwięki wydawała.

– Może po prostu wrzucicie mu w miskę dwa talary i poproście, żeby ścichł? – grzecznie zaproponowała Likal, nie podnosząc wzroku na krasnoluda.

– Ogłupiałaś, panna? – sarknął Sodi. – A za co ja mam tej sromotnej porażce, barda udającej, płacić? Jakbyśmy jeszcze blisko jakich lasów byli, to i wart byłby talarka za wystraszenie bestii, co by nam zagrażać mogły. Ale w grodzie? Cielątka wystraszy, mleko skwaśnieje, kury nieść przestaną. Same szkody.

W tej samej chwili śpiewak zamilkł. Przez chwilę cisza pieściła uszy obecnych. Krasnolud zamrugął zaskoczony, a później westchnął błogo. Rozparł się na ławie, sięgnął po kubek miodu i już miał wygłosić jedną ze swych pełnych mądrości mów, gdy bard ponownie otworzył usta. Z pierwszym słowem nowej ballady przysła wszelka nadzieja, że tym razem młodzian nie zapomni Sodiemu utraconego zwierzaka.

*Dobry król dwie córki miał
Lecz syna nade wszystko chciał
I szukał wciąż nowej żony
By zostać nim obdarzony
Wydawał więc wielkie bale
Nie bawiąc się na nich wcale
I dzień za dniem poznawał damy...*

– Zanim ten wielce szanowny król dobrnie do nocy poślubnej, niniejszy krasnolud słuch straci z kretesem – warknął Sodi. Odstawił kubek i wstał od stołu. – Idę się, kurwa, przejść.

Yasa uniósł brew i w milczeniu spojrział w okno, za którym deszcz bynajmniej nie ustawał.

– Kilka kropelek jeszcze nikomu nie zaszkodziło. – Wzruszył ramionami Sodi.

– Nie jesteście ciekawi królewskiej historii? – zaczęła słodko Likal. – Toż król, z tym jego... hmm, umiłowaniem panien, znać rodzina wasza być musi.

Krasnolud nie skomentował, najwyraźniej pragnąc jak najszybciej opuścić zacne towarzystwo. Prawie biegnąc, dotarł do drzwi. Otworzył je gwałtownie. Ściana deszczu, wzmocniona zawodzącym wiatrem, cofnęła nieco krasnoluda. W tejże chwili jednak bard postanowił sprawdzić, jak wysoko zdoła unieść głos. Pieśń zadrzała, załamała się i przeszła w dźwięk żywo przypominający tarcie szkłem o szkło.

– Na piekielne czeluście! – jęknął Sodi i wyszedł w wicher.

Młodzieniec śpiewał dalej, niezbyt przejęty wyjściem słuchacza:

*I skonał król w żony ramionach
A władzę po nim przejęła ona
Bestii oddała swe pasierbice
By za czas jakiś zabrać im życie...*

Krasnolud zatrzasnął za sobą wierzeje. Dopiero wtedy Yasa spojrział na śpiewaka. Naraz rozpaczliwe zawrozczenie nabrało miękkości, słowa zaczęły ze sobą współgrać, a melodia popłynęła gładko, pieszcząc uszy słuchaczy. Mag przymknął oczy i oparł głowę o ścianę, wsłuchując się w balladę.

*Bezwzględna była młoda królowa
Ginęli ludzie nawet za słowa
Wstęgami ulic krew przepływała
Śmierć wielkie żniwo w kraju zbierała...*

Wiatr szarpał odzieniem stojącego przed gospodą krasnoluda, a deszcz kompletnie je przemoczył. Wichura zagłuszyła jednak wszelkie inne dźwięki, więc Sodi stał wśród wycia żywiołów z niezwykle zadowoloną miną. Mrużył oczy, bo lodowata ściana wody trochę go oślepiła, ale i tak wyglądał – jak na Sodiego de Gra Yudherthardere, rzecz jasna – bardzo radośnie.

Po kilku chwilach wszakże radość zaczął zakłócać dość nieprzyjemny chłód. Kurtka, która kosztowała mnóstwo talarów, bo handlarz dawał uroczyste słowo honoru, że wykonana jest ze specjalnie wyprawionej skóry delghartowskiego smoka i w żadnych warunkach wody nie przepuści, przemokła i wraz z równie wilgotną koszulą lepiła się do ciała. Sodi błyskawicznie rozważył opcje.

A potem ruszył biegiem do stajni.

Przywitał go półmrok, przyjemne ciepło i...

– Niech ja ranka w ramionach tłustej dzierlatki nigdy nie doczekam, ale smród! Zesrał się któryś czy jak? – Rozejrzał się nerwowo po niewielkim pomieszczeniu. Konie stały obok siebie, przeżuwając obrok i nie zwracając uwagi na gościa. Jedyne jego kuc zastrzygł uszami i na moment odwrócił głowę. – Nic to, przywyknę. I tak żaden nie będzie mi tu trelami ścian kruszyć, więc jakoś się dogadamy. Ciepłuchno tu jak w pościeli Szczerbatej Justy... a i, kurwa, aromaty podobne... Ech, stęskniłem się za dziewczuchą. Będzie ze trzy lata, jakeśmy... – reszta zdania utonęła w ściąganej przez głowę koszuli. Krasnolud okrył się derką i siadł ciężko w kącie stajni na wyściełanym słomą klepisku. Pokręcił z niechęcią

nosem i kontynuował: – W karczmie mnie przygotowali izdebkę, zacną i woniejącą. A i pościel pewnikiem bieluchną... może nawet haftem zdobioną... Dziewki bym się nie doczekał. Pan Yasa zabronił dupy brać na postoj. Taaa... – sarknął, przewracając oczyma. – Jakby on nigdy nie chędożył, kiedy Likal w sąsiedniej komnacie. Się, kurwa, naraz świątobliwy zrobił, by kto pomyślał. Eeech, koniki, wam to łatwiej... – Przekręcił głowę, żeby zerknąć na zwierzęta. – No, ja tu żale swoje wypłakuję, a wam jaja poobcinali, to nawet nie wiecie w czym rzecz.

Zamilkł, przymykając oczy. Bębniący w dach deszcz łagodnie kołysał Sodiego do snu. Mężczyzna był już na jego granicy, ledwie kilka uderzeń serca od momentu, w którym kontury rzeczywistości tracą ostrość, a ograniczenia znikają... Ledwie kilka oddechów dzieliło go od pełnego zatracenia, gdy czyjeś podniesione głosy przywróciły mu pełną świadomość. Niechętny towarzystwu, wcisnął się głębiej w cień, licząc, że nikt go nie zauważy.

– Ostawcie! – W wejściu pojawiła się wysoka, zwalista postać. Kaptur osłaniał włosy, a twarz tonęła w półmroku. Niski, jękliwy głos wydawał się męski, ale odzienie gościa było zdecydowanie kobiece. – Ostawcie!

– Widzieliście takie dziwadło?! – Za kobietą wpadło do stajni trzech mężczyzn. – Ani to chłop, ani baba... Rozdzielę i obaczę, nie?

Pozostali zarechotali i zrobili krok ku uciekającej. Ta wrzasnęła, próbowała odskoczyć...

I runęła jak długa kilka kroków od schowanego w kącie Sodiego.

Pieśń barda wciąż malowała barwne obrazy w wyobraźni słuchających z ekstatycznym zachwytem. Jedynie Likal, chociaż i na nią działała magia ballady, nie patrzyła na śpiewaka. Przez długą chwilę po wyjściu Sodiego, podobnie jak Yasa, dziewczyna siedziała z zamkniętymi oczami. Kiedy wreszcie je otworzyła, spojrzała na opiekuna. Mag wydawał się drzemać z obojętnym wyrazem twarzy.

– Jesteś zmęczona? – zapytał, gdy się poruszyła.

– Trochę.

– Chcesz, żebym cię odprowadził?

Nie odpowiedziała. Zapewne gdyby to Sodi zadał takie pytanie, rzuciłaby jakąś złośliwość albo przynajmniej parsknęła niechętnie. Yasy pytanie zamilczała. Poczekała, aż opiekun otworzy oczy, i pokręciła głową. Mag uśmiechnął się łagodnie.

Czuła jego spojrzenie, kiedy wychodziła z izby. Czasami marzyła, że zdoła wejść w umysł Pierwotnego, by poznać jego myśli. Nigdy jednak nie próbowała tego robić.

Wzmocniona magią ballada towarzyszyła jej na poddaszu gospody. W blasku jednej płonącej głównej nabierała mrocznej barwy. Budziła w Likal tęsknotę, której dziewczyna nie potrafiła zdefiniować. Pragnienie graniczące z bólem. Młoda czarownica westchnęła, zacisnęła pięści, odetchnęła głęboko i wyszeptała zagłuszające zaklęcie. Miała nadzieję, że Sodi z Tropicielem są na tyle daleko, żeby nie podrażniła go taka mała, bardzo osobista magia.

Pieśń zamilkła, ale tęsknota wciąż drażniła duszę. Dziewczyna postąpiła w stronę izby, którą wynajął dla niej

Yasa, a potem zatrzymała się. Stała tak, nie mogąc podjąć decyzji, aż wreszcie wahanie przerwały kroki na schodach. Drewniane stopnie skrzypiały głośno pod ciężarem gospodarza prowadzącego kolejnego gościa. Piękna kobieta okryta elegancką peleryną stanęła obok Likal i spojrzała na dziewczynę wyniośle. Młoda czarownica cofnęła się odruchowo.

– Tędy, pani. – Mężczyzna wskazał kobiecie otwarte właśnie drzwi.

Podopieczna Pierwotnego zacisnęła pięści i przygryzła wargę. Zazdrość tylko na moment zawładnęła jej myślami. Mgnienie tak krótkie, że wściekłe zakłęcie ledwie błysnęło pod zmrużonymi powiekami. Uciszyła je błyskawicznie. Nie jej to rzecz, kogo pan Yasa kazał sobie sprowadzić do łoża. Nie jej, nie jej...

Odetchnęła głęboko, by krwawa mgła opuściła myśli, nie mogąc jednocześnie oderwać wzroku od zamykających się drzwi izby Pierwotnego. Złość minęła dość szybko, uciszona rozpaczliwie powtarzanymi słowami. Razem z nią minęła tęsknota i bolesne pragnienie. Likal stała w półmroku, ogłuszona nagłą pustką.

A potem powolutku ruszyła schodami w dół, do wyjścia.

Upadek zerwał z głowy kobiety kaptur, a wciśnięty w kąt Sodi z niedowierzaniem zagapił się w jej twarz. Wiele rzeczy można było rzec o zacnym krasnoludzie, jednakowoż rzadko brakowało mu słów. W tejsze chwili jednak, nawet gdyby chciał coś powiedzieć, chyba by nie zdołał.

Rzec o leżącej, że nie grzeszyła urodą, byłoby zdecydowanym niedopowiedzeniem.

Zapewne rozmyślałby nad tym znacznie dłużej, gdyby nie owych trzech drabów, którzy pragnęli sprawdzić, co ich ofiara ukrywa pod odzieniem. Rechocząc głośno, rzucili się spełniać groźbę. Kobieta czołgała się rozpaczliwie, zawodząc przy tym błagalnie, ale oprawcy bynajmniej nie zamierzali jej słuchać. Dwóch złapało za kończyny, a trzeci zabrał się do zdzierania sukni.

Sodi de Gra Yudherthardere jakoś nigdy do wojowników zaliczać się nie chciał, a i specjalną odwagą zasłynąć w Krainie nie zamierzał. Często też powtarzał, że nie jemu się wciskać między miodzik a zakąskę. Lubił jednak normalny porządek rzeczy: miodzik powinien być ciepły i pachnący, a zakąseczka smakowita i chętna. A kobita, nieważne jak brzydka, dupy dawać miała prawo temu, komu chciała. Ot, co!

Toteż Yudherthardere podniósł się powolutku w swoim kąciku, zrzucił derkę z ramion i zza paska wyrwał oba toporki, by przywrócić normalny porządek rzeczy. Że zaś mądrym krasnoludem był i liczyć potrafił całkiem dobrze, wiedział, że trzy to więcej niż jeden, więc nie ma co po próżnicy gęby drzeć, kiedy mus trzech osiłków położyć. Kiedy musiał, Sodi potrafił całkiem skutecznie trzymać język za zębami. A i poruszać się niemal bezszelestnie umiał całkiem sprawnie. Błyskawicznie oszacował odległość. Przez moment ważył toporki w potężnych dłoniach, aż wreszcie podjął decyzję. Z niejaką niechęcią ustawił toporki obuchem do celu...

Drab trzymający ręce leżącej padł od pierwszego uderzenia. Drugi cios pozbawił przytomności tego, który gorliwie zrywał z kobiety odzienie. Trzeci mężczyzna

zdążył się poderwać i z wrzaskiem rzucił do ucieczki. I pewnie by mu się udało, bo Sodi bynajmniej spragniony krwi nie był, gdyby niedoszła ofiara, wyrwawszy z dłoni oszołomionego krasnoluda toporek, nie cisnęła nim w plecy uciekającego oprawcy. Ostrze wbiło się ze straszliwą siłą między łopatki mężczyzny, uciszając go na zawsze.

Yudherthardere przez chwilę stał, gapiąc się z rozdzielionymi ustami na trzonek broni podrygujący w rytm ostatnich drgawek konającego.

– Się panna nie obraż, ale, kurwa, łapkę to ty masz, niech bogowie chronią. Jakbyś w mordę dała, to zębów by człek chyba w Zachodnich Łądach szukał – wyszeptał z podziwem, odwracając się wreszcie.

Kobieta wciąż siedziała na klepisku. Przesunęła się tylko jak najdalej od oprawców. Poprawiała nerwowo suknię, nie podnosząc wzroku. Długie potargane włosy nijakiego szarego koloru opadały w nieładzie na ramiona. Na jednym z kosmyków smętnie zawisa różowa kokarda, która zapewne miała dodawać urody. Jaskrawość barwy tylko podkreśliła nienaturalną brzydotę właścicielki ozdoby.

– A bo i nie malutkaście – pokiwał głową Sodi, który, stając obok siedzącej brzyduli, przewyższał ją ledwie o szerokość dłoni. – Chcecie wstać czy coś? Nie, pewnie, że nie. Ja też chyba usiądę. – Sięgnął ponownie po derkę i okrył się. Dopiero wtedy opadł na klepisko, dość daleko od kobiety. – Człękowi, jak się tak pogiba gwałtownie, to i słabość członki zbiera. A i noc prawie nadchodzi, to i senność jakowaś... Nijakiej potrzeby ni

ma, cobyśmy stali, kiedy i usiąść można. Co nie? Macie jakieś imię, panna? Głupio tak w zacnym towarzystwie siedzieć, a nazwiska nie znać. Mnie zwą Sodi.

Kobieta wciąż milczała, intensywnie patrząc na mnące suknię dłonie. Knykcie niemałych pięści pobieleły, a palce podrygiwały nerwowo. Co rusz zerkąła na obu nieprzytomnych, zaciskając szczęki.

– Nic się, panna, nie martw – pocieszył ją krasnolud. – Jakem pierdolnął, to aż cosik tam trzasnęło. Znaczy szybko się nie podniosą. A i jakby, to się, kurwa, poprawi. I już. To jak? Macie jakie imię?

– Bela – odpowiedziała krótko, podnosząc wreszcie wzrok.

I tak Sodiemu drugi raz mowę odjęło. Oczy jego rozmówczyni nijak nie pasowały do brzydkiej twarzy. Mieniły się wszelkiego rodzaju odcieniami złota, od jasnego miodu, przez ciepły bursztyn, aż po ciemny, acz połyskliwy stary metal. Uwodziły głębią. Nie było w nich magii, nie miały żadnej czarodziejskiej mocy – Tropiciel drzemał nieprzywołany, a przecież trudno było oderwać od nich spojrzenie, trudno pamiętać o szpetocie, która je otaczała.

– O kurwa – wyszeptał wreszcie z nabożnym zachwytem.

Kobieta podniosła się powoli. Wyprostowana sięgała prawie do belki stropowej. Niejeden rycerz krański pozazdrościłby jej postury. W myślach Sodiego zamajaczyło pytanie, ale nim zdołał się na nim skupić, nim zdążył je sformułować, Bela zrobiła krok ku niemu i powiedziała:

– Przykro mi.

– Dlaczego...? – zaczął krasnolud.

I więcej nie zdążył, ogłuszony potężnym uderzeniem.

Bard wciąż śpiewał, a ballada, wzmocniona magią, niosła Yasę w świat marzeń. Nic to, że sam go sobie tworzył. Był w tym mistrzem. Przez setki lat żył ułudą, nauczył się czerpać z niej przyjemność. I chociaż dawno tego nie robił, tego wieczoru, w niewielkiej gospodzie na rozstaju dróg, tuż przy kraińskiej granicy, postanowił na chwilę wymarzyć sobie doskonałą rzeczywistość. Poczucie dotyk palców, które nigdy nie zechcą go pieścić. Zobaczyć uśmiech, który nie będzie przeznaczony dla niego. Wyimaginowany świat, niesiony słodyczą magicznej melodii, mógł być tak samo realny jak ten, który czekał na niego tuż za granicą królestwa. Miłość w urojonych odbarwionych tęczęwkach smakowała prawie... prawie...

Unióś powieki, zawstydzony swoją słabością. Bard zamilkł w tym samym momencie. Nikt jednak tego nie zauważył. Ostatni goście w gospodzie spali zmożeni magicznym snem, niepotrzebni świadkowie gorączkowych pragnień Pierwotnego Maga. Yasa westchnął i wstał od stołu. Nie czuł zmęczenia ani senności. Czekająca ich jednak długa i trudna droga do Itru, powinien więc odpocząć. Krasnolud pewnie śpi w stajni, a i Likal położyła się już dawno. Na myśl o młodej czarownicy ostre rysy Yasy złagodniały. Uśmiechając się, otworzył drzwi do izby, którą wynajął na nocleg.

Stojąca przy oknie kobieta drgnęła. Z całą pewnością nie była panną lekkich obyczajów, chyba że przy-

graniczne nierządnicę miały zwyczaj nosić aksamitne odzienie, klejnoty i spoglądać z wyższością. Bez cienia uśmiechu podeszła do ławy i sztywno wyprostowana usiadła, składając dłonie na podolku.

Yasa uniósł brew i bez słowa przyglądał się gościowi.

– Zamknijcie, proszę. – Rozkazujący ton przeczył słowom. – Nie chcę, żeby ktoś nas zauważył.

Mag grzecznie wykonał polecenie, a potem oparł się o ścianę i czekał. Kobieta westchnęła. Poruszyła nerwowo skrzyżowanymi palcami.

– Chcieliśmy was prosić o przysługę, Pierwotny Magu – powiedziała cicho. – Nasze królestwo potrzebuje waszej pomocy.

– Zawsze gdzieś jest królestwo, które potrzebuje pomocy. – Mężczyzna wzruszył ramionami i usiadł na łóżku. Zsuł buty, rozparł się na poduszkach i wyciągnął nogi. Patrzył spod na wpół opuszczonych powiek, uśmiechając się leniwie.

– Nie zapytacie, skąd wiem, kim jesteście?

– Nie zapytam.

Zmarszczyła brwi. W ciemnych oczach błysnęła irytacja.

– Mówiono mi, że Pierwotny Mag dba o ludzi, że obchodzi go ich los i nie zostawi ich na łasce potwora. Dlatego przybyłam w tajemnicy przed doradcami, właściwie wbrew nim, aby prosić o pomoc dla mojego ludu.

– Dobrze wam mówiono – potaknął Yasa. – Widzę, że powiedziano też, że czytam w myślach.

– Dlaczego...? – Uciekła spojrzeniem.

– Bariery w waszym umyśle nie zrodziły się naturalnie. Jak by to rzekł mój przyjaciel, cuchniecie mocą.

Ten, który założył blokady, nie wystarczy, żeby uratować królestwo?

– Nie. – Pokręciła głową. – Zabiła go bestia.

– To bardzo kiepsko, wasza wysokość, bo nam akurat dość spieszno.

– Zapłacę wam!

– Jak? – Uśmiechnął się chłodno.

– Złotem? – zawahała się.

– Sądzicie, że go nam brak?

Wstała i zaczęła nerwowo przemierzać pokój.

– Jeśli odmówicie, ona będzie dalej zabijała. Jest zła.

Okrutna – mówiła szybko, nie patrząc na rozmówcę i nie przestając chodzić. – Lubi to. Cierpienie sprawia jej przyjemność. Cierpienie innych. Wielu próbowało. Moc ją strzeże. Nikt nie wrócił. Nikt więcej nie pójdzie. A ona się o nas upomni. Kiedyś, już wkrótce. Nikomu nie daruje. Zabije wszystkich. – Z każdym kolejnym zdaniem podnosiła głos, balansując na granicy hysterii. Mrugała szybko, oddychała spazmatycznie, to zaciskała, to rozprostowywała palce, przemierzając przy tym izbę długimi krokami. – Obiecała mi śmierć. Obiecała ją wszystkim. – Zatrzymała się gwałtownie, by wreszcie spojrzeć na Yasę. – Potrzebujemy waszej pomocy. Zapłacimy każdą cenę.

Mag usiadł z westchnięciem.

– Przychodzisz do mnie, pani, ukrywając myśli i wspomnienia. Wysyłasz barda... Na przyszłość szukaj kogoś obdarzonego talentem, mój przyjaciel ma wysublimowany smak muzyczny.

– Ten... krasnolud? – niemal wypluła pytanie.

– Sodi de Gra Yudherthardere – głos Pierwotnego stwardniał – jest księciem, wasza wysokość. I to nie takim jak wy, córka władcy z nadania Króla Królów. Jego szlachectwo sięga dziesiątek pokoleń. To, co wasz śpiewak zrobił muzyce... powiedzmy, że raniło duszę mojego przyjaciela.

– Skąd wiecie, że ja go wysłałam?

– Moja droga, jeśli chciałaś, żebym nie wiedział, trzeba było zabezpieczyć również umysł barda.

Pochyliła głowę.

– Odpowiem na każde wasze pytanie – wyszeptwała.

– A ja nie uwierzę w żadną z odpowiedzi. – Wzruszył ramionami. – Straciliście moje zaufanie już przy balladzie o złej macosze.

– Ona była zła – powiedziała cicho księżniczka. – Uwięziła nas. Gdyby nie... moja siostra, zginęłybyśmy.

Yasa uśmiechnął się krzywo, ale nie skomentował. Na rzęsach kobiety zadrżały łzy.

– Nie pomożecie? Nie wierzycie w bestię?

– W nią akurat wierzę – potaknął, wstając. – Macie ją wypaloną pod powiekami.

– Więc? – zapytała ponagłająco. Zrobiła krok w kierunku mężczyzny. – Zapłacę każdą cenę... Naprawdę – dokończyła prawie szeptem, opuszczając wzrok.

– Tego – podkreślił Yasa z lekką kpinią w głosie – też mi nie brakuje. Nie chcę waszej zapłaty, jakakolwiek by była. Nie wiem, czy wam pomożemy. – Usiadł z powrotem. – Ale skoro już zechcieliście zaszczycić nas swoją obecnością, wypada poprosić, byście spoczęli i opowiedzieli, z czym przybywacie. – Wskazał miejsce obok siebie.

Księżniczka zamruła zaskoczona nagłą zmianą tonu czarodzieja. Zawahała się, ale przyjęła zaproszenie.

Nie zdążyła jednak rozpocząć opowieści, bo w tejże chwili rozległo się pukanie.

– Wasza miłość! Wasza miłość! Wiadomość mam! Wasza miłość!

– Wybacz, moja droga. Wejdźcie, dobry człowieku. Drzwi otworzyły się gwałtownie.

– Wasza miłość! – Gospodarz zerknął szybko na księżniczkę i Yasa już wiedział, komu zawdzięcza jej wizytę.

– Bo panna wasza kazała was wołać!

Yasa błyskawicznie spoważniał.

– Gdzie ona jest?

– No, w tym rzecz, wasza miłość. Na kobyłce w las pogalopowała! Rzekła, że jakiś olbrzym krasnoluda porwał i że gonić go będzie. I jeszcze... no, żebyście...

– Mów, człowieku!

– Żebyście dupę ruszyli, a nie babami się zajmowali – dokończył gospodarz, chociaż Yasa i tak go już nie słyszał, biegnąc w stronę stajni.

Sodi obudził się przekonany, że głębokie dudnienie rozsadzi mu czaszkę. Przez chwilę leżał w bezruchu, ale hałas nie ustawał. Dopiero wtedy pojął, że banda szalonych bębniarzy nie urządziła sobie koncertu tuż przy jego głowie, ale właśnie w niej. Nie miał jednak czasu, by to roztrząsać, bo rozbudzony wraz z krasnoludem Tropicielem zawył żałośnie, wyrывая się na wolność. Kąsał i drapał. Szarpał ciało i umysł nosiciela. Yudherthardere zacisnął pięści i wyszeptał zaklęcie wstrzymujące. Osłabiło stwora, ale go nie zatrzy-

mało. Nadal wył, wściekle wgrzając się w umysł Sodiego. Ten ponowił czar, oplatając go zaklęciem wzmacniającym. Zabolało.

– Kurwa! – wyszeptał z jękiem krasnolud. Tropiciel cofał się, piszcząc rozpaczliwie. Dudnienie trwało.

– Obudziliście się? – Głos pytającego wydał się Sodiemu dziwnie znajomy, ale jakoś brakło mu energii, by się nad tym zastanowić.

– Nie, kurwa, tak se ino przez sen lubię pogwarzyć – odpowiedział, nie otwierając oczu. – Bo co?

– Trochę się turbowałam, bo dawno nie biłam tak, żeby nie zabić.

Taka odpowiedź warta była otwarcia oczu. Sodi zmrużył, tak z powodu jasności, jak i zaskoczenia. Spojrzał w kierunku głosu. Mocne, nienaturalne światło oślepiło go na moment, ale zaraz nieco przygasło i krasnolud dojrzał, kto do niego mówi. Poderwał się gwałtownie, by równie szybko opaść na legowisko.

– Nie wstawajcie tak, bo się wam...

– Niech ja więcej nie zobaczę babskiego cycka! To ja wam dupę ratowałem, a wy mnie po łbie...?! Tak się w waszym, kurwa, świecie wdzięczność okazuje?! – krzyczał Sodi, krzywiąc się przy każdym słowie, bo dudnienie wciąż trwało. Odetchnął głęboko raz i drugi. Nie po to, żeby się uspokoić, bo przecie wściekły krasnolud to zdrowy krasnolud, a po to, by uciszyć bębny.

Kobieta nie wyglądała na zawstydzoną. Szpetna twarz pozostała niewzruszona. Sodi przyglądał się jej i naraz ostatnia myśl, która prawie się wykluła przed spotkaniem z pięścią Beli, wróciła.

– Ożeż, niech mnie stary ogr wydyma, wam wcale ratunek nie był potrzebny – zauważył cicho. – Z takimi łapami to możecie jednym trzaśnięciem wołu dupę jego pokazać. Ino tera nie pojmuję... po co ta cała komedyjka?

– Różnie o was mówią. – Kobieta wzruszyła ramionami. – To i chciałam się przekonać.

– I po to żeście tego tam utłukli? Żeby się przekonać?

– Zasłużył – warknęła. – A jakby uciekł, albo i nie daj bogowie w ślad za nami ruszył, to mogliby się o mnie zwiedzieć tacy, co to ich zapraszać do dom nie zamierzam.

– A mnie ten wątpliwy zaszczyt spotkać musiał, co? – Rozejrzał się rozeźlony. Tropicieł piszczał, spętany zakłęciami. – A wiecie, że to wasze przeurocze siedlisko jedzie mocą jak przyportowa tawerna szczynami?

– Dlatego was przywiozłam.

– Dlatego... – Sodiego aż zatchnęło ze złości. – Rozum wam odjęło?! Wiecie, co się stać mogło z Tropicielem wybudzonym w takim miejscu?!

– Ale nic się nie stało.

– Bo zem... – zamilkł. Odetchnął głęboko. – Ech, głupie te baby. Głupie jak nic. Ładne czy brzydkie, jedna w drugą głupie. Nie mogliście to, panna, po ludzku zaprosić? Uprzedzić grzecznie, żeby Tropicieła na uwięzi trzymać? Nie dało się?

– Tak szybciej. – Ponownie wzruszyła ramionami. – A że drogi nie znacie, to nie muszę was zabijać, jak już zrobicie, co trzeba.

– Że co?!

Bela pochyliła się nad gościem. W ostrym świetle rozblęły złociste tęczówki.

– Straszna z was gorączka. Kiedyś wam to zaszkozi.
– Kurwa, te wasze oczyska... – sapnął krasnolud. – Smoczy w was krew płynie jak nic. Dziwne nie jest, do Itru niedaleko, pewnikiem sporo tu takich mieszańców żyje.
– Pewnie mój wygląd też smokom zawdzięczam, co? Nie uważacie, że wyglądam jak zmiennokształtny w polowie przemiany?

– No, aż tak bym nie powiedział...

– Byli tacy, co powiedzieli. – Machnęła ręką i usiadła na łóżku obok Sodiego. – Ale większości już nie ma. – Uśmiechnęła się, a grymas ten wywołał ciarki u krasnoluda. – Nic to. Nie... ekhm... zaprosiłam was, żebyście moich żali wysłuchiwali. Ino żebyście pomogli klątwe zdjąć.

Tak, krasnolud wiedział, że tego pytania zadawać nie powinien. Nie potrafił się jednak powstrzymać.

– Jaką klątwe?

– Ano tę – odpowiedziała.

Płomienie dziesiątek świec w komnacie zachybotwały i przygasły. Moc przemknęła w powietrzu niczym powiew lodowatego powietrza. W ciszy zabrzmiał chrzęst kości przestawiających się w stawach. Towarzyszył im niski rozpaczliwy jęk. Kobieta stoczyła się z łóżka i upadła na kolana. Chrzęst się nasilił. Jęk ustał. Kości czaszki przesuwwały się szybko, zmieniając brzydkie oblicze w koszmar. Z dolnej szczęki wysunęły się kły, a wargi obnażyły dziąsła i garnitur zębów mogących mury kruszyć. Nos się cofnął i prawie znikł w kudłatej mordzie.

Stwór wyprostował się, sięgając powały. Zwalisty i potężny, trochę przypominający niedźwiedzia, trochę

psa. Oczy w straszliwym pysku wciąż połyskiwały złościście. Nie było w tym blasku jednak nawet cienia łagodności.

– No, panna – wyszeptał Sodi drżącym głosem, wciśkając się w kąt – mam nadzieję, że masz tu gdzieś jakie galoty, bo, kurwa, jak nic trza mi je zmienić.

W odpowiedzi bestia zawyła nisko i chrapliwie. Opuściła łeb, niemal dotykając twarzy krasnoluda. Mężczyzna wciągnął gwałtownie powietrze. Cofnąłby się bardziej, gdyby nie ściana za plecami. Zacisnął więc tylko pięści, zanosząc szybkie modły do każdego ze znanych bogów i opiekuńczych przodków. Stwór tymczasem warknął gardłowo, a szerokie nozdrza poruszyły się powoli. I gdy krasnolud zaczął, nie pierwszy w swym życiu, rachunek sumienia, powtarzając w duszy, że przecie żadnym poważnym grzechem się nie skalał, to i przodkowie zapewne zechcą go przyjąć w swoje szeregi... Właśnie w tym momencie ponownie zachrzęściły stawy i Bela wróciła do ludzkiej postaci, a potem opadła ciężko na łożo obok gościa.

– Po to właśnie was zaprosiłam – wycharczała, dysząc ciężko. – Żebyście mi pomogli cofnąć klątwę.

– Znaczy co? Ochajtać się mam z wami czy jak? – Sodiemu błyskawicznie wracał rezon. – Bo tak zwykle w bajaniach bywa. Ino na ogół nadobny księżę i precudna królewna... Niby ze mnie okaz nie lada, a z was... kawał kobity, ale żem mamusi obiecał krasnoludzkiej krwi nie mieszać.

– Nie – warknęła wściekle – nie was mi trzeba, ale Tropiciela. Znajdzie źródło klątwy. Czujecie magię,

prawda? Opasała całą okolicę, zniewoliła mnie i zmienia w to... coś. Wiecie, jak boli? Każda zmiana jest jak konanie. Przekleństwo i śmierć. Tylko to mi zostaje.

– I chcecie, żebym... żeby Tropiciel znalazł źródło magii? I co wtedy? Bo chyba macie jakiś plan? Wiecie, że żaden ze mnie czarodziej? Znaleźć to jedno, zniszczyć... Nie wiem, czy poradzę.

– Tylko je znajdźcie – powtórzyła, acz już mniej pewnie. – Resztą się nie martwcie.

Sodi podrapał się po czuprynie. Zmrużył oczy i przyglądał się swojej gospodyni. Głowa wciąż go bolała, a dudnienie nie ustawało. Tropiciel popiskiwał... Yudherthardere wciągnął gwałtownie powietrze, kiedy dotarł do niego ów dźwięk. Niezmienny od chwili, w której spętał alter ego. Błyskawicznie pojął, co to znaczy. Nie zamierzał jednak dzielić się tą myślą.

– Dajcie mi trochę czasu – powiedział, patrząc kobiecie w oczy. – Muszę zebrać siły.

Pokiwała głową ze zrozumieniem. Podeszła do drzwi, ale zamiast wyjść bez słowa, zatrzymała się i wbiła wzrok w krasnoluda.

– Nie wiem, jaką macie moc, panie Yudherthardere, ani jakie więzy łączą was z czarodziejami. Lepiej jednak, byście ich nie wzywali. Ta sama magia, którą wyczuliście, chroni okolicę. Niejeden chciał ją pokonać. Najlepsi książęcy magowie próbowali się tu wedrzeć. I wszyscy skonali u moich wrót. Szkoda byłoby tej dziewczuszki, która wam towarzyszyła. O młodzieńcu nie wspomnę. – Uśmiechnęła się strasznie. – Wam też uciekać odrazdam. Znajdę bez trudu. Każdy kamień w okolicy powie

mi, gdzieście są. – Odwróciła się i wyszła, zostawiając Sodiego z głośnym przekleństwem na ustach.

Czarne, pozbawione gwiazd niebo rozpięte nad drzewami pogłębiało nienaturalność leśnego mroku. Likal zatrzymała klacz, tracąc z oczu potężną postać i przewieszzonego przez siodło krasnoluda. Chociaż nie miała pod skórą Tropicieła, młoda czarownica doskonale wy czuła potęgę chroniącą gąszcz. Śmiertelne niebezpieczeństwo, znaczone żywotami tych, którzy próbowali je pokonać, zmusiło ją do ściągnięcia wodzy. Zeskoczyła z konia i wpatrzyła się wściekle w niewidoczną dla zwykłego śmiertelnika barierę. Moc falowała jak nagrzane powietrze, to odsłaniając, to skrywając kontury drzew. Czar wyciszył wszystkie dźwięki dobiegające z lasu. Dziewczyna nie słyszała szelestu liści, trzasku gałązek, odgłosów zwierząt. Absolutna, prawie bolesna cisza zdawała się wychodzić młodej czarownicy na spotkanie. Likal tupnęła nogą ze złości i przygryzła wargę. Gniew buzował w żyłach, ale wiedziała, że sama nie zdoła pokonać zaklęcia. Nie mogła jednak usiąść i czekać. Chodziła więc tam i z powrotem, zerkając to na las, to w kierunku, z którego przybyła. Kiedy dojrzała Yasę, zatrzymała się. Stała, tupiąc niecierpliwie nogą, właściwie nie wiedząc, dlaczego jest taka zła na Pierwotnego.

Mag wstrzymał gwałtownie klacz. Zeskoczył i w milczeniu spojrział na dziewczynę. Żadne nie powiedziało słowa. Yasa podszedł do magicznej bariery. Na tyle blisko, że potężna moc podrażniła mu skórę. Powoli wy ciągnął dłoń. Długie palce przemknęły po niewidzialnej

zasłonie. Falująca ściana mocy rozjarzyła się odcieniami złota i czerwieni. Posypały się skry, a czarodziej syknął cicho. Poparzone opuszki zagoiły się błyskawicznie, ale zabołały paskudnie.

– To Pierwotny? – cicho zapytała Likal, której złość na opiekuna właśnie minęła.

– Nie wiem. – Pokręcił głową. – Potężne zaklęcie, ale...

– Ale oprócz was tylko Uri ma taką moc, prawda? A przecież ona nie wie, że ją ma. Zadbałiście o to z Zakonną.

Yasa potaknął bez słowa, wciąż wpatrując się we wrota lasu.

– Dobra. – Likal podeszła do opiekuna. – Potem się zastanowimy kto i jak. Teraz trzeba nam pana Sodiego ratować. Kto wie, co tamten olbrzym chce z nim zrobić.

Pierwotny wyciągnął dłoń. Młoda czarownica ujęła ją. Wzmocnili uścisk. Energia przepłynęła pomiędzy złączonymi rękami. Najpierw pieszczotą, delikatnym, łagodnym muśnięciem, które po ledwie dwóch uderzeniach serca zmieniło się w wichurę. Magia połączyła oboje, spłynęła z dusz, wprost w splecione palce.

I naraz otaczający ich półmrok rozświetlił niezmierny blask. Pierwotna moc, wsparta siłą młodej czarownicy, uderzyła w niewidzialny mur. Jasny płomień rozczepił się, natrafiając na przeszkodę. Zapłonął mocniej. Część świetlistych sztyletów odbita zawróciła do Yasy i Likal. Mag błyskawicznie pociągnął dziewczynę na ziemię i przygniótłszy, osłonił przed uderzeniem. Zaraz też podniósł głowę i spojrzął na las. Bariera płonęła, ale wciąż trwała.

– Jeszcze raz – szepnął do Likal.

I ponownie uderzył.

Mrok za oknem zafalował, magiczna rzeczywistość otaczająca domostwo zadrżała. Stojący przy oknie krasnolud krzyknął z bólu i upadł na kolana. Gwałtowna ofensywa na skraju lasu szarpała trzewiami Sodiego, boleśnie drażniąc spętanego Tropicielea. Stwór wył, rwąc wiążące go zaklęcia.

Kolejny atak. Sodi zwinął się, wbił palce w ciało, zacisnął usta... i wypuścił Tropicielea.

Setki wielobarwnych wstęg targnęło leżącym i rozprostowało jego członki, niemal wrywając je ze stawów. Kolory tańczyły, wzmocnione blaskiem dobywającym się z ciała krasnoluda, a potem, nagle, rzuciły się, by szukać źródła. Rwały przed siebie, błyskawicznie przemierzając każdy zakątek domostwa. Przeszukiwały zakamarki, sunęły przez otwarte pokoje, wciskały się do tych zamkniętych. Sprawdzały miejsce po miejscu, żadnego nie opuściły. Gdy zaś nie znalazły tego, czego szukały, pomknęły dalej, między konary. W mrok.

Płomienie trawiły osłonę, nie niszcząc jej. Bariera płonęła niespalającym się ogniem. Yasa wpatrywał się ponuro w mrok za płomieniami, a Likal stała obok, wciąż zaciskając palce na dłoni Pierwotnego. Poprawiła włosy spadające na oczy i starła pot z czoła. Przeniosła spojrzenie na opiekuna, czekając, aż ten popatrzy na nią. Yasa skinął głową.

Już mieli ponownie rzucić czar, gdy dziewczyna dojrzała połyskującą między drzewami smugę barwy. Szarpnęła rękę maga.

– Widzę – odpowiedział spokojnie.

Poczekali, aż Tropiciel się zbliży, a gdy wstęga prawie dotykała bariery, gdy już muskała ogień... uderzyli. Zwielokrotnione zakłęcie z jednej strony, macki Tropiciele z drugiej. Czar Yasy przerwał barierę i wbił się w barwne światło. Na chwilę, krótszą niż mrugnięcie powieki, świat zamarł.

A potem wybuchł.

Ból minął nagle, ale Sodi wciąż leżał, kontemplując przyjemność ulgi. Najpierw powolutku przyciągnął do ciała rękę, potem złączył nogi. Przez jakiś czas, w sumie niedługi, acz wydawał mu się wiecznością, Yudherthardere wpatrywał się w belki stropowe i uśmiechał do własnych myśli. Wreszcie uznał, że wystarczy. Podniósł się szybko.

– Trza się brać – wyszeptał, bo cisza jakoś go drażniła. – Yasa z gówniarą magię rozpieprzyli, to tera chyba nikt nie doniesie pannicy, zem dał nogę, nie? – Szarpnął okiennicę, a kiedy ta otworzyła się z minimalnym skrzypnięciem, zerknął na zewnątrz. – No, wysoko nie jest, se poradzę. I dobrze, bo mnie do rajskiego ptaszka daleko. Chociaż jedna taka, ech... ta to potrafiła... – mamrotał, przekładając nogi przez okno. Skoczywszy, gadał dalej, wspominając z rozrzewnieniem ładacznice. Wylądował gładko, na ugiętych kolanach i błyskawicznie rzucił się do ucieczki.

Nie ubiegł daleko. Po kilkunastu krokach poczuł szarpnięcie. Coś uniosło go za kurtkę na karku ponad ziemię. Majtał jeszcze chwilę nogami, bardziej z rozpędu niż świadomie.

– A wam dokąd tak spieszno? – zapytała Bela, trzymając, potężnego przecież, krasnoluda jedną ręką.

– Ano gościna przednia, ale kamraci czekają – odrzekł Sodi, szarpiąc się na uwięzi. – Weźcie mnie, kurwa, puśćcie! Co ja, gówniarz jaki, że mnie tak dzierżycie?

– Mówiłam, żebyście nie uciekali, prawda?

– Ano, panna, mówiłaś. Ale magii już u was nie ma, kamienie gęby nie otworzą, to żem uznał, że to taka... ekhm... wskazówka jeno była, nie polecenie.

Zamrugła gwałtownie i puściła krasnoluda.

– Jak to nie ma magii?

– Ano nie ma. – Sodi uśmiechnął się krzywo, odsuwając jednak nieco, by gospodyni nie mogła go dosięgnąć. – Ale coście tak zmarkotnieli? Przecież tego chcieliście, co nie?

– Nie ma magii? – powtórzyła rozpaczliwie. Zamknęła oczy, zwarła szczęki... najwyraźniej próbowała przywołać bestię, ale bez skutku. – Jak to nie ma magii?!!! – wrzasnęła wściekle, rzucając się ku Sodiemu. Krasnolud próbował uciec, ale kobieta była szybka. Złapała go za kurtkę na piersi i, ponownie poderwawszy z ziemi, przyciągnęła ku sobie. – Coście zrobili?

– No, przecież chcieliście się pozbyć klątwy, co nie? – Yudherthardere rozglądał się nerwowo, a gdy pośród drzew zamajaczyła wysoka sylwetka, naraz się uspokoił. Rozciągnął usta w czymś, czego, prócz niego, nikt uśmiechem by nie nazwał, i kontynuował: – Nie po to żeście mnie... ekhm.. zaprosili?

– Mieliście źródło znaleźć, nie wyłączyć – warknęła, a Sodi pomyślał, że tej nocy kolejny raz trza mu będzie galoty zmienić.

– Ale przecie mówiliście... – zaczął.

– Kłamałam! Cholera, kłamałam! – Potrząsała wściekle krasnoludem. Naraz uspokoiła się i, skrzywiwszy w przerażającym uśmiechu, wyjaśniła: – Potrzebuję tego źródła. Moja mała siostrzyczka dogadała się z jednym szczyłem... cholera, potężny z niego mag. Rzucił klątwę i uwięził mnie tutaj. Nocami mogłam wychodzić, ale gdybym nie wróciła przed świtem... – zawahała się, luzując uchwyt – zostałam... tym czymś na zawsze. Nie zrozumcie mnie źle. Bestia mi się spodobała. Jak się wygląda tak jak ja, każda moc jest fascynująca. Potęga strachu. Piękna rzecz. Dobrze jest jednak, choćby czasami, mieć ludzkie oblicze. Nawet takie.

– To się powinniście radować, nie? – Sodi wyszczerzył zęby, chociaż wiedział, do czego kobieta zmierza.

– Chciałam klątwę wyłączyć – warknęła Bela – ale kiedy już opanuję źródło. A tak nie będę już bestią. Nie poczuję... – Głos kobiety zadrżał. Zamilkła na moment, a potem ponownie zacisnęła dłoń na kurtce krasnoluda. Przyciągnęła go ku sobie i wyszeptwała: – Odwróćcie to. Jeśli chcecie ranka doczekać, odwróćcie.

– No, z tym może być niejaki problemik, panna. Chyba że jego poprosicie. Może zechce. – Sodi wskazał Yasę, który właśnie stanął dwa kroki od nich. – Ino wiecie, panna, chyba nie bardzo mu się widzi, że jego przyjacielowi bebechy wytrząsnąć chcecie.

Bela spojrzała we wskazanym kierunku i zaryczała wściekle. Rzuciła krasnoludem z taką mocą, że przeleciał, mając nogami, kilkanaście kroków i trzasnął ciężko o ziemię, a potem skoczyła ku magowi. Yasa

uśmiechnął się zimno. Odsunął się, umykając szarżującej pannie. Ta jednak błyskawicznie zawróciła. Mężczyzna westchnął. Uniósł lekko rękę i naraz niewidzialna siła uniosła Belę. Nieistniejący sznur skrępował kobietę i delikatnie posadził u stóp Pierwotnego. Yasa przez chwilę uśmiechał się okrutnie, a potem minął kobietę i podszedł do Sodiego.

– Cali jesteście? – Podał rękę krasnoludowi.

– Ma dziewczuszka parę w łapach, niech ja więcej gęby Szczerbatej Justy nie zaznam – mruczał Sodi, gramoląc się powoli. – Dobrze, żeście Likal nie zabrali. Życ by mi nie dała, jakby takiego dyndającego zobaczyła. To gdzie nasze dziecię ukochane?

– Wróciła do koni.

Mężczyźni spojrzeli na Belę. Wierciła się, wrzeszcząc wściekle.

– Toście narobili, panie Yasa – uśmiechnął się szeroko krasnolud. – Belcia chciała se tutejszą moc zagospodarować, a wyście... pstryk... i wyłączyli. Ktoś tu pannę czarrem z bestią związał. Tak się dziewczuszka radowała, że jej źródelko wskażę, że z niego zaczerpnie i bestię wreszcie porządzić będzie mogła. Oj, joj, joj, aście narobili, panie Yasa. Tera to ona tylko żywym dowodem na owocność pochedóżki ludzi z ogrami pozostanie. To co robin? Trza nam wracać, miodu popić, barda posłuchać...

Yasa nie odpowiedział. Patrzył na wiercącą się kobietę w zamyśleniu. Przestała już krzyczeć, a ze złotych oczu wyzierała czysta nienawiść.

– Znaczy ja wiem, że wy nie lubicie kobit krzywdzić, ale chyba jej nie puścimy, nie? – zaniepokoił się Sodi.

Mag odwrócił się, by odpowiedzieć. Nagle leśną ciszę przerwał tupot kopyt. Spomiędzy drzew wypadł oddział zbrojnych. Dowodząca nim postać wydała się Yase dziwnie znajoma...

– Ty!!! – wrzasnęła Bela, zobaczywszy księżniczkę. Próbowała się poderwać na nogi, wykrzykując przekleństwa. Daremnie. Zaklęcie trzymało ją na ziemi.

Zbrojni zbliżali się. Obnażyli ostrza.

– Co tu się, kurwa...?! – krzyknął Sodi.

Yasa miękko poruszył dłonią. Broń jadących i czar wiążący Belę opadły w tej samej chwili.

– Chodźmy, Yudherthardere. – Mag pociągnął przyjaciela za ramię. – Siostry poradzą sobie i bez nas.

– Siostry? – Zdumiony Sodi zerknął przez ramię. Zdążył jeszcze dojrzeć Belę powalającą kolejnego woja i księżniczkę mierzącą do niej z kuszy. – No rzeczywiście, uderzające podobieństwo. – Odwrócił się i spojrzał na przyjaciela. – Coś się mnie widzi, że jakem do stajenki uszy ratować umknął, to wyście se w karczemce całkiem nieźle poczynali. Co?

– Nie uwierzycie, Yudherthardere, ale głównie słuchałem muzyki. – Uśmiechnął się Yasa. – Nie wyobrażacie sobie, jakich rzeczy można się wtedy dowiedzieć.

– Muzyki?! – Sodi aż przystanął z wrażenia. Zaraz jednak pobiegł za przyjacielem. – I niby w tym słuchaniu pannę od zbrojnych poznaliście i wam rzekła, że siostra jej, kurwa, najmilejsza w lesie w bestię się zmienia i trza ją potraktować żelastwem jakim? Nic tak przecie nie pomaga na klątwę jak porządny sztylecik. Rzekłby, że ostatecznie pomaga... Iście jeszcze tejsze

pannie nadobnej gnać za sobą ze zbrojnymi pozwolili, co? Przecie nie będziecie mnie ciemnotę wciskali, żeście tych tam nie zauważyli? Taaa, znów nic nie powiecie? Niech będzie, pomilczmy se trochę. Co to szkodzi, gęby nie otwierać. Po ciemku fajnie iść w ciszy, co nie? Choć, z drugiej strony, znałem kiedyś jedną taką... Och, ładniutka z niej była dziewczuszka, ino języka nie umiała na uwięzi utrzymać. Wyobraźcie sobie, że nawet kiedy robiła dobrze... Czekajcie, to wasza kobyłka przy drzewie, nie? A mówiliście, że gówniara do koni wróciła? To niby gdzie ona?